PRZEWODNIK MIŁOSIERDZIA

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU TOW. DOBROCZYNNOŚCI „CARITAS" I RAD WYZSZYCH KONFERENCYJ ŚW. WINCENTEGO à PAULO MĘSK. I ŻEŃSK.

REDAKTOR: SEKRETARZ JENERALNY ZWIĄZKU, X. WALENTY DYMEK.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
POZNAŃ, ALEJE MARCINKOWSKIEGO, 22 III - TELEFON 1989 - P. K. O. 206 143

Warunki przedpłaty:
Członkowie Związku Towarzystw Dobroczynności „Caritas" otrzymują organ Związku bezpłatnie. — Przedpłata dla niecżłonków wynosi 8 zł rocznie, płatnych w ratach kwartalnych.

Nr. 8.	POZNAŃ, SIERPIEŃ 1927.	ROCZNIK VI.

Bel.

Y. M. C. A.

(Young Men's Christian Association.)

Gdy myślą zwrócimy się wstecz, do czasów ubiegłej wojny, a na pamięć przywołamy wszelkie środki i organizacje, które miały na celu ulżenie doli walczącego żołnierza, to niechybnie uwypukli się we wspomnieniu naszem obraz organizacji obcej, zamorskiej, znaczącej się jako firmą swą literami Y. M. C. A., a która rozdawaniem darów, tanią sprzedażą środków odżywczych lub orzeźwiających, tworzeniem ognisk, kantyn, zakładaniem bibljotek i dostarczaniem różnorodnych rozrywek, niezmierne wojsku oddawała przysługi.

Młodych amerykanów z czerwonym trójkątem na ramieniu, czynnych, energicznych i pełnych poświęcenia nie każdy z nas, żyjących po za armją i terenem wojennym, oglądał, lecz nazwa „Ymca" stała się bardzo popularną, jakkolwiek wielu nawet znaczenia liter Y. M. C. A. (Young Men's Christian Association) wytłómaczyć dokładnie nie umiało.

Przeważnie sądzono, że „Ymca" to zrzeszenie dobrowolnych samarytanów, usiłujących nieść pomoc udręczonej wojną ludzkości, troskliwość swą specjalną zwracających nadewszystko ku żołnierzowi, aby podnosić go na duchu, podtrzymać na siłach, dodawać mu otuchy.

Jednakże już w obozach wojennych członkowie Y. M. C. A. rozprzestrzeniać poczęli broszurki i pisma, których treść zaniepokoiła ludzi myślących; to też wtedy usiłowały jednostki dbające o życie wewnętrzne żołnierza, jako człowieka, pisma takie wycofać z obiegu, lub też rozdawaniu ich przeszkadzać.

Jasnem stać się musiało każdemu, kto pisma takie przeglądał krytycznie, że nie o dobroczynną akcję wyłącznie rozchodzi się cudzoziemskiej tej organizacji, że raczej celem jej jest zawładnięcie umysłami, prowadzenie młodzieży w pewnym, wytkniętym kierunku ideowym.

Pragnąc zapoznać się bliżej z ideami podstawowemi organizacji omawianej, sięgnąć musimy do źródła jej i początku.

W r. 1849 żył w Londynie młodzieniec, prosty subjekt handlowy, nazwiskiem Jerzy Williams, który zaniepokojony zaniedbaniem moralnem ówczesnej mieszczańskiej młodzieży londyńskiej, postanowił zapobiegać szerzącemu się zgorszeniu przez zachęcanie swych towarzyszy do badania Pisma św. i przez urządzanie zebrań, na których modlono się wspólnie. Ruch ten obejmować począł coraz szersze koła młodzieży, a w skutkach swych wydał bardzo dobre rezultaty; niebawem też stanął do współpracy ze zrzeszonymi, jako przewodnik w kwestjach etyczno-moralnych, pastor anglikański.

Inicjator związku dobre i szlachetne miał bezwzględnie intencje; kto nie ma szczęścia posiadać całej prawdy, ten błądząc schodzi na złe drogi, jak ówczesna, zaniedbana młodzież londyńska, lub tęskni i na szukanie prawdy wychodzi, jak ów skromny subjekt z domu handlowego kupca Hitchhoecka. Samo zaś dążenie do dobrego i do prawdy dobre w rezultacie wydać musi owoce.

Zadaniem członków związku nie miało pozostać nadal wyłącznie doskonalenie siebie; mieli oni wykształcić i umocnić się do roli apostołów niosących — „ideę nowego porządku świata" — społeczeństwom tonącym w materjaliźmie i nędzy, wskutek rozpasanych namiętności ludzkich. W rzeczy też samej, pierwotny, skromny związek londyński, pracujący wyłącznie nad młodzieżą robotniczą i handlową, rozpowszechnił się na wszystkie niemal kraje kulturalne, ustanowiwszy w r. 1855 jako centralę wszechświatową zrzeszenie londyńskie, liczącą już wówczas około pół miljona stowarzyszonych. Początkowo był tedy związek ten czysto religijnym, dążącym do uszlachetniania jednostek za pomocą studjowania Biblji oraz wspólnych modlitw; następnie dołączono jeszcze pracę społeczno-filantropijną około biednych i chorych.

Rozszerzając się dalej, utworzyła organizacja w r. 1866 Związek Nowojorski, który ustalił jako cel swój i zadanie pracę nad podniesieniem poziomu duchowego, umysłowego i społecznego ludzkości, wraz z dążeniem do doskonalenia fizycznego rozwoju młodzieży.

Jako oznakę zewnętrzną obrano trójkąt, mający symbolizować dążenia do harmonijnego rozwoju potrójnego składnika ludzkiego jestestwa: Ducha, Umysłu i Ciała.

Stwierdzono następnie, że Związek jest instytucją świecką, że pragnie w każdym poszczególnym kraju pracować na gruncie narodowym, że należeć mogą do Związku chrześcijanie wszelkich wyznań, a dopuszcza się nawet do współpracy duchownych, lecz świeckie zarządy zatrzymują kierownictwo i rozwój ideowy w swoich rękach. Jakkolwiek tedy „Ymca" nie skreślała kwestyj religijnych ze swego programu, to jednakże, uzależniając życie religijne od zwierzchnictwa świeckiego, wyznaczała mu miejsce drugorzędne, poboczne, poniekąd zbędne.

Do współpracy i oddziaływania na umysły młode przypuszczała „Ymca" nowojorska wszystkie te niezliczone sekty amerykańskie, powstające i niknące co chwila, szerzące nieskończone ilości indywidualnie pojętych, błędnych nauk. Co więcej; dokładniej zbadawszy pracę i rozwój stowarzyszenia stwierdzono, że do głównych członków zarządu nowojorskiego zaliczali się ludzie, będący równocześnie wielkimi mistrzami lóż masońskich, że istnieli „wtajemniczeni", że ci którzy głębiej i poważniej pracowali w związku, byli związani słowem honoru do milczenia, że wśród tych, którzy stali na wyższych szczeblach hierarchji związkowej mówiono o Bogu, jako o jakiejś sile lub duchu, który w nas mieszka.

W r. 1878 na zjeździe w Genewie ustanowiono Komitet Wszechświatowy, w którego skład wchodzić miały, jako członkowie, komitety wszelkich poszczególnych krajów dla ruchu Y. M. C. A. pozyskanych.

Celem rozszerzenia wpływu na młodzież akademicką wynikła z pierwotnego stowarzyszenia: Federacja Wszechświatowa Akademików Chrześcijańskich, — a następnie Włoski Związek Studentów; ten ostatni ogłasza się otwarcie niezależnym od wszelkiej powagi kościelnej.

Po zlikwidowaniu „Ymci" dobroczynnej, odpowiadającej potrzebom wojennym, która zaznaczyła działalność swą szeregiem czynów prawdziwej miłości bliźniego, w pamięci zaś wdzięcznej zostawiła wspomnienie ludzi ofiarnych, pracujących umiejętnie, celowo i inteligentnie, niewątpliwych, szczerych ideowców i zapaleńców, wzięto się do zaszczepienia na gruncie polskim owej pracy pokojowej, powyżej opisanej. Zdaje mi się, że należy w tej pracy odróżnić ludzi dobrej woli, którzy olśnieni ideą nową, przyjętą bezkrytycznie, biegną realizować ją w dobrej wierze, że pracują dla szczęścia ludzkości, od czynników akcją kierujących na zimno a umiejętnie z celem ukrytym, a pewnym na oku, do którego dążą wytrwale i nieugięcie.

Zakładającej się u nas „Ymce" polskiej przeznaczono w broszurach i odezwach rolę reformatorki i wychowawczyni, mającej młodzież tak inteligentną jak rzemieślniczą

i wiejską przygotować do wielkiego jej zadania, to znaczy, do odbudowania wewnętrznego kraju, steranego i zdemoralizowanego przez długoletnią niewolę oraz ostatnie przejścia wojenne. Nawołując społeczeństwo polskie do współpracy, do łożenia środków materjalnych na tworzenie ognisk i innych przybytków działalności „Ymci", stwierdzają przywódcy organizacji, że Polska potrzebuje obywateli, posiadających poczucie moralnej odpowiedzialności, obywateli silnych duchem i ciałem, którzyby odrodzili ojczyznę. Lecz, zdaniem ich, niema już ani u nas w Polsce, ani na szerszym świecie instytucyj społecznych, zdolnych wychować jednostkę do wielkich jej w świecie zadań. Rodzina, szkoła, wojsko, a nawet Kościół przeżyły się, zdaniem „Ymki", nie wystarczają więc jako czynniki wychowawcze dla nowoczesnego człowieka. Opinja społeczna, rozumują przywódcy dalej, nie ma już żadnych sprawdzianów wytycznych postępowania, gdyż rozpadają się w gruzy wszystkie dotychczasowe powagi. Wszelkie bowiem dawne, przeżyte instytucje, dotąd uznawane, opierają się na zgóry narzuconym autorytecie, dzisiejsza zaś jednostka ludzka dąży do samorządności, buntuje się więc przeciwko autorytetom, o ile takowe są jej narzucone; podlegać zaś chce tylko takim, które sama sobie stworzy; „chcemy", mówi w imieniu młodzieży „Ymca", „samodzielnie stawiać i rozwiązywać zagadnienia życiowe, a nie przejmować cudze, gotowe szematy".

Gdy więc wszystko chwieje się i nie wystarcza, stosownie do przytoczonych teoryj, ogłasza siebie, jako najlepiej przygotowaną do urobienia typu idealnego obywatela, gdyż zamiary jej i cele są rzekomo w zupełnej harmonji z dzisiejszemi potrzebami dusz młodych. Na miejsce więc wpływów wychowawczych rodziny, na miejsce pedagogji szkolnej, dyscypliny wojskowej, a ostatecznie na miejsce mieszkającej w Kościele Chrystusowym nieomylnej, odwiecznej Prawdy, stawia „Ymca" siebie i swoje wartości wychowawcze, jako jedynie zdolne do harmonijnego rozwinięcia całego jestestwa człowieka w duchu, umyśle i ciele.

Ogół polski nie zawsze zastanawiał się nad głębszemi zasadami i wpływami „Ymci"; ogół widział powstające ogniska, kluby i bibljoteki, słyszał zachętę do sportów i ćwiczeń ciała, ideowo słyszał propagandę trzeźwości i czystości obyczajów, to też pojąć nie mogło społeczeństwo, zwłaszcza młode, dla czego Kościół katolicki stawił energiczne veto, dla czego przez biskupów swych ostrzegał i wskazywał na „Ymcę" jako na organizację podkopującą wiarę młodzieży, prowadzącą swych zwolenników ku jakiejś religji mglistej, i nieokreślonej, zupełnie odmiennej od tej, jakiej nauczał Pan nasz Jezus Chrystus.

Wszak zdawało się bezkrytycznie patrzącym, że właśnie Ymca dążyła do oparcia wychowania młodzieży na ideałach Chrystusowych, że świadczy o tem sama jej nazwa: „Stowarzyszenie Młodzieży Chrześcijańskiej (Young Men's Christian Association), oraz zasada, głoszona przez pierwszego założyciela, że: religja jest najważniejszym czynnikiem w życiu społecznem, że ona jedynie dostarcza sił do spełniania obowiązków codziennego życia, gdyż bez niej popada się nieuchronnie w samolubstwo i zgubę.

Lecz Ymca oparła z biegiem czasu całą swą pracę na ciasnym rozumie ludzkim; łącząc zaś wszelkie, wzajemnie sobie przeczące interpretacje Chrystusowej Prawdy w jeden związek, prowadzić musi wychowanków swych nieuchronnie do niepewności w rzeczach wiary, do zobojętnienia, wewnętrznego niezadowolenia i smutku, a tem samem osiągać skutek wprost głoszonemu programowi swemu przeciwny; silny bowiem, do twórczych czynów zdolny człowiek, stać musi przedewszystkiem na niezachwianym fundamencie zasad etyczno-religijnych.

My Polacy mamy chyba wszelkie powody ku temu, aby poznawszy zasady Y. M. C. A. przeszkadzać rozprzestrzenieniu się ich u nas. Czyż bowiem może być coś bardziej destruktywnego dla duszy polskiej, jak przeczenie wszelkim uznanym autorytetom, wmawianie w siebie, że mamy prawo szukania we własnej duszy odpowiedzi na wszelkie zagadnienia etyki i moralności! Małoż jeszcze u nas marzycielstwa bezpłodnego, niejasności i mglistości, małoż tego indywidualizmu, nieumiejętności podporządkowania się, małoż braku dyscypliny i karności, niezdolności do zrobienia ofiary ze swego uwielbianego „ja" na rzecz dobra ogółu, by jeszcze, nie mówiąc już o herezjach religijnych, takie herezje społeczne wmawiać niedojrzałym, młodym umysłom?

A czyż my katolicy mamy potrzebę szukania daleko wzorów ładu, porządku i organizacji do odbudowy Ojczyzny, skoro niedościgły wzór wszystkich tych podwalin każdego uregulowanego ustroju społecznego mamy tak blisko siebie w organizacji Kościoła naszego katolickiego! Oto co o Kościele i jego organizacji mówi autor angielski Wells: „starannie zorganizowany Kościół katolicki ciągle się rozszerza i wzmacnia... dlatego jedynie Kościół katolicki może trwać. Zdyscyplinowany i chroniony, opiera się skutecznie otaczającym go wpływom i umie bronić dusze. swych wiernych przed mamidłami nowoczesnych iluzyj".

Otóż w sprawie Ymca spostrzegł Kościół także w czas niebezpieczeństwo, — a dążąc do zneutralizowania i usunięcia wpływów tego Stowarzyszenia, — usiłuje osłonić dusze swych owieczek przed zwodniczemi mamidłami.

Lecz Polak zasadniczo lgnie do wszystkiego, co obce, a odwraca się od największych prawd, o ile one są bliskie, swoje. Dla tego ogół inteligenty podziwiał i uznawał Ymcę, a nie zrozumiał zarządzeń Kościoła, gdyż z Kościołem katolickim w naszej katolickiej Polsce nie współżyje przeważnie inteligencja polska, zostawiając Kościół dla maluczkich i pokornych.

Inteligencja, zaniedbując najczęściej przyswojenie sobie wyższej oświaty religijnej, odwraca się od Kościoła z gestem wyższości, trwając w niewyrozumowanej i nieuzasadnionej niczem wolnomyślności, — albo też czyni sobie z religji jakąś nieokreśloną tęsknotę, wspomnienie dziecięcych wierzeń, rzecz piękną, lecz zupełnie bezpożyteczną. A nad wszystkiem tem góruje bezwład i lenistwo, niechęć, w myśl Ymc'i, do autorytetu, wstręt do zadania swoim zachciankom jakiegobądź przymusu, co jednak często czynićby trzeba, gdyby się żyło według zasad religijnych. A organizacje parafjalne i społeczne, rodzime, któreby mogły bez żadnych Ymek i Ywek (Young Women Christian Association) tak doskonale wpływać wychowawczo na młodzież naszą, nie mogą rozwijać się należycie z braku współpracy osób duchowo i umysłowo wykształconych.

Ci zaś, których współpraca taka byłaby obowiązkiem, odwracają się od swego zadania jako nieciekawego dla nich, niewłaściwego. Marzymy więc lub filozofujemy próżniaczo, czekamy aż obcy przyjdą nam kraj odbudować i wychować nam młodzież, a tymczasem jakaś wroga nam ręka, korzystając z naszego lenistwa i braku orjentacji, podminowuje nasze ideały i wierzenia, sieje niewiarę i zło, uwodzi młodzież, burzy nam lud. Nie uzdrowią nas obcy swemi mętnemi teorjami, nas, którzy lekceważymy najwyższe dobra tak nam bliskie, — lecz obałamuciwszy nas i uśpiwszy jeszcze mocniej, przyjdą cichym, lisim krokiem, wezmą nam życie i żywą krew, a na gruzach i zgliszczach zamierającej naszej kultury narodowej zasiądą jako władcy, potężni złem — bezwyznaniowi, beznarodowi, — oni dążący wytrwale do zmiecenia z powierzchni ziemi Kościoła i narodowości.

Na miejscu Ojczyzny postawią hasła wolności, równości, braterstwa; lecz ta wolność nie oparta o prawa Boże rychło stanie się swawolą, równość nieposzanowaniem żadnej władzy ni powagi; braterstwo soków swych żywotnych z przykazania miłości bliźniego nie czerpiące nie oprze się właściwym zepsutej naturze ludzkiej błędom: egoizmowi, zazdrości i wszelkiej złej wobec współbrata woli.

Na miejscu Boga postawią ład, piękno, harmonję, lecz trzy te pojęcia z Boga biorące swój początek i w Nim najwyższą swą znajdujące doskonałość, bez błogosławiącej Jego

dłoni w nieopisany chaos i bezład wkrótce obrócić się muszą; ziemia zaś niemi ogarnięta przestanie być dla człowieka miejscem spokojnego i szczęsnego bytowania.

Spojrzmy więc w oczy niebezpieczeństwu — pożegnajmy obcych i ich dla nas niewłaściwe zamierzenia. Podziękujmy młodym przedstawicielom zamorskiego Związku za wszystko dobre, które dla naszych współrodaków uczynili — i sami stańmy jaknajprędzej do pracy, której oby Bóg dobry poszczęścić raczył.

Wanda Szuman.

Nie zabierajmy sierotom rodzeństwa.

Ktokolwiek rozłączał rodzeństwo — sieroty, słyszał płacz i krzyk dzieci, widział czasami ich bunt i kurczowe trzymanie się jedno drugiego, a u niektórych tylko smutne ponure milczenie — ten wie, że sprawa ta woła sama o jakieś lepsze, bardziej ludzkie rozwiązanie.

„Dla chleba je rozdzielamy" — odpowiadamy sobie na własne usprawiedliwienie; ale sumienie, ale fakty same nie w każdym wypadku usprawiedliwiają.

Spójrzmy na kilka tych faktów.

Pięcioletnia sierotka jest w Łomży, w zakładzie dla sierot, jej siedmioletnia siostrzyczka w Krakowie w zakładzie — prosi bardzo, aby mogła być razem ze swą siostrą.

Nie wiem, jakim sposobem dostały się dzieci do różnych zakładów na różnych krańcach Polski. Wiem jednak, że obecnie rozdział tych dzieci istnieje tylko skutkiem braku porozumienia między temi zakładami. Jeżeli jeden i drugi zakład jest tak biedny i przepełniony, że w żaden sposób nie może przyjąć jeszcze jednego dziecka, niechże przyjmie siostrzyczkę Halinki, choćby tylko pod warunkiem, że odeśle wzamian inne dziecko do tamtego zakładu — i to dziecko samotne, nowe, które się jeszcze nie wżyło w miejscowe warunki.

Weźmy inny fakt.

Ośmioletnia Helcia jest w sierocińcu w M. 6-letnia Józefka w sierocińcu położonem o 10 km. w I.

Jakaż tu przyczyna. Otóż gmina obowiązana do łożenia na utrzymanie tych sierot, może niezbyt zamożna, nie chce na nie płacić. Prosi więc jeden klasztor po drugim, aby przyjął dzieci bezpłatnie. Ale przyjąć od razu 2 dzieci, co do których się wie, że nikt nic na nie nie zapłaci, jest rzeczą

trudną. Ostatecznie nie chcąc odmówić, bo kiedyś kwestowano w tej gminie na zakład, przyjmuje się 1 dziewczynkę, drugą zaś niech kto inny przyjmie.

W tym wypadku jeszcze są warunki korzystne, dzieci wiedzą jedno o drugiem, może się zobaczą raz na rok, na 2 lata.

W innych wypadkach sprawa przedstawia się znacznie gorzej.

Jest brat 10-letni, braciszek 4-letni i siostra 12-letnia. Daje się ich do 3 zakładów w różnych miastach. Nie znają swych adresów.

W zakładzie, w którym jest 12-letnia dziewczynka, są chłopcy od lat 5; braciszek ma lat 4, możnaby było zrobić wyjątek, ale kto o tem pomyślał.

Myśli się tylko tyle: popłacze malec, dziecięcy płacz nietrwały, dziecko dostanie bułkę, której dawno nie widziało, to się uspokoi.

A nie pamięta się o tem, że starsza siostra była już w domu przyzwyczajona do opiekowania się maleństwem. Zabierając jej braciszka, pokazało się, że on może się wychowywać bez jej opieki, nie dopuszcza się jej nawet nigdy do żłóbka, w którym jest braciszek i przygasła miłość do braciszka poleconego jej opiece przez matkę umierającą.

Tu nietylko o krótszy lub dłuższy płacz dziecka chodzi, nawet nie o jego rozpacz, o jego smutek.

Tu rwiemy nici miłości i przywiązania, a tem samem podkopujemy charakter. Jeżeli sierota kocha braciszka, będzie dobra dla niego, nie raz, nie dwa, ale stale, z małemi chyba wyjątkami. Odmówi sobie coś dla niego, popracuje dla niego, zniesie jakąś przykrość za niego, będzie go ochraniała, o nim myślała, sama sobie naznaczy obowiązek dla niego. „Kto ma miłość, nie potrzebuje przepisów".

A przytem będzie się czuła szczęśliwa, bo komuś przydatna; czyjeś szczęście w pewnej mierze od niej zależy. Braciszek mały może więcej starałby się być dobrym, gdyby widział miłość i starania swej siostry.

A tak — gdy go zapytamy, kogo kocha — namyśla się bardzo długo, wymienia wreszcie któregoś z kolegów, dziś jednego, za tydzień innego. To nie trwałe uczucie, które uszlachetnia, to powierzchowny afekt, który nie pogłębia ani podnosi.

Starszy brat w innym zakładzie. Nie słyszy nic o rodzeństwie przez lata całe. Nie znają się już, nie szukają, bo stali się sobie obcymi.

A przecież miłość wśród rodzeństwa nie ma znaczenia tylko na czas dzieciństwa. Właśnie w pierwszym okresie pracy nibyto samodzielnej, potrzebna jest młodzieży pomoc materjalna i moralna rodziców względnie rodzeństwa.

Sierotom tak często pozabierano tę ostoję, jaką stanowić mogłyby dla nich dom, a choćby tylko serce brata lub siostry, słowo przyjazne, słowo otuchy lub przestrogi. Myśl sama, że jest ktoś, który pragnie jego szczęścia i czystości, może dopomóc sierocie do zawrócenia wczas z pochyłej drogi.

Pomijając powyższe względy, tłumaczymy się również względami pedagogicznemi. Braci i sióstr nie możemy wychowywać razem. Jakież trudności przedstawia wspólne wychowywanie chłopców i dziewcząt.

Odpowiedź na te wątpliwości daje nietylko dzisiejsza pedagogika ogólna, gdyż nie można pociągnąć ścisłej linji porównawczej między zwykłym internatem szkolnym a internatem sierot.

Odpowiedź miarodajną, wyraźną, dają ankiety przeprowadzone w zakładach dla sierot wychowujących chłopców i dziewczęta razem. Znaczna większość tych zakładów, zwłaszcza prawie wszystkie mniejsze zakłady, oświadczają się za koedukacją. Są trudności, ale są i korzyści przewyższające wartością trud włożony w koedukację.

Prócz specjalnych wypadków niema ogólnej racji usprawiedliwiającej dostatecznie rozdział rodzeństwa wśród sierot.

Z wyjątkiem nagłych klęsk żywiołowych jak wojna, rozległe powodzie obejmujące dużą część kraju i t. p. nie powinno się zdarzać, aby pozbawiano rodzeństwa dzieci pozbawione już rodziców. Stan obecny nie jest w tak dalekim stopniu spowodowany następstwami wojny, co brakiem celowego ujęcia tej sprawy.

We Francji np., gdzie sieroty wojenne cieszą się zupełnie inną opieką rządu i społeczeństwa jak reszta sierot, gdzie tylko sieroty wojenne są oddane ministerstwu oświaty, zatem władzy wychowawczej, doznają one ze strony tej właśnie władzy specjalnej opieki w kierunku nierozłączania rodzeństwa.

Dla sierot wojenych poszukują władze centralne i obwodowe takich rodzin i zakładów, któreby przyjęły rodzeństwo razem. W razie niemożności, np. gdy jedno z dzieci uczęszcza do szkoły zawodowej, poleca się gminom, w których sieroty są umieszczone, poszukać dla ich rodzeństwa miejsca na czas wakacyj w tych samych rodzinach względnie zakładach, lub też u rodzin mieszkających w najbliższem sąsiedztwie.

Jeżeli podjęcie tych starań jest możliwe wobec całej armji sierot wojennych we Francji, nie jest ono niemożliwem wobec reszty sierot.

Niechaj owoc wojny tak strasznej i krwawej pouczy ludzkość na swych ofiarach wykonywania miłosierdzia w bardziej odczuwający i przewidujący sposób, niż to się dotąd działo i dzieje.

Nam się zdaje nieraz, że dając sierocie chleb, dach i ubranie, dajemy tak bardzo dużo, że mamy prawo za tę cenę zabrać jej rodzeństwo, zdawałoby się zresztą dla jego dobra.

A sami czyż nie wolelibyśmy nawet za cenę ograniczenia własnych potrzeb nie stracić brata lub siostry?

Pominąwszy wszelkie względy uczuciowe, zdajemy sobie sprawę że wychowamy z sierot tem lepszych obywateli, a tem mniej wykolejeńców i niedobitków życiowych, im bardziej wychowamy w nich uczucia obywatelskie i ludzkie poprzez miłość do rodzeństwa.

A teraz wglądnijmy do zakładów, czy i o ile jest tam uwzględniana i rozwijana miłość pomiędzy rodzeństwem?

Wejdźmy do zakładów np. w czasie obiadu. W 9/10 zakładów, które znam, są dzieci pousadzane podług wzrostu. Chciałoby się czasem wołać: Przecież i martwe książki ustawia się w szafach nie podług wzrostu, a podług sensu, podług treści!

A tu usadza się dzieci już nawet nie podług wieku, a podług wysokości, więc rodzeństwo siedzi rzadko obok siebie, a często przy przeciwległych stołach. Na spacerze spotykamy to samo ustawienie. Przecież sieroty, to nie wojsko, niech nie reprezentują siły i porządku na zewnątrz, niechaj przeważają wewnętrzne wychowawcze względy.

Przy pracy podział podług wieku, czasami także podług wzrostu, w sypialni to samo!

Jedno z rodzeństwa wyjeżdża z zakładu na pracę lub t. p. Kto pamięta o tem, by pozostałe pisało do niego, kto da mu papier i znaczki na tę „pisaninę". Rodzeństwo wychowywane pozornie razem, w rzeczywistości trzymane zdala od siebie, niezawsze znajdzie w życiu samo drogę jedno do drugiego.

Starsze poszło na służbę, nie pisze.

Młodsze idąc w świat nie wie, gdzie szukać starszego i tak i to rodzeństwo nie ma z siebie nic na życie.

Możnaby może powiedzieć, że rodzeństwo wśród sierot samo powinno dbać o to, aby być razem. A tymczasem niewiele znać tej dążności w zakładzie.

Na wytłumaczenie tego pozornego faktu przytoczę jeden choćby przykład:

Przechodząc przez sypialnię dzieci już po dzwonku, gdy się już wszystko uciszyło, a regularne oddechy świadczyły, że dzieciarnia zasnęła, widziałam, jak 10-letni chłopiec przechylił się nad łóżkiem swego 7-letniego braciszka i obydwiema rączkami gładził go przez całą chwilę po twarzyczce.

Za dnia nie zauważyłam nigdy najmniejszego objawu serdeczności między tymi braćmi. Znajdki — niewiadomego pochodzenia, — przygarnięci pod dach zakładu dla sierot, postawieni pomiędzy 40 chłopców, na odrębnych krańcach sali przy jedzeniu, nie śmią się przy dzieciach zbytnio przybliżyć do siebie, odnieść się do siebie w serdeczniejszy sposób, jak to pewnie w domu bywało. Ale uczucie w ich duszy jest i potrzebuje przejawu zewnętrznego. Przejaw ten przytłumiony za dnia z obawy szyderczego a choćby tylko obojętnego słowa, lub uśmiechu towarzyszów, wyraża się w nocy w ciemnej sali, gdy już tamci śpią.

Wychowanie gromadne nie jest dobre dla młodszych dzieci. Łatwo w niem się przytłumiają i giną dobre uczucia. Zadaniem wychowawcy jest więc nie gasić, nie utrudniać rozwoju tych uczuć, a starannie je ochraniać. Wychowując sieroty wstawiajmy się sami myślą często w ich położenie.

Jeden z lekarzy chirurgów, gdy go rodzina chorego pytała, czy doradza do poważnej operacji, odpowiadał właśnie w najtrudniejszych, najcięższych wypadkach. „Wiem, że gdyby tu chodziło o moje własne dziecko, lub żonę, postąpiłbym tak samo''.

A my rozdzielając rodzeństwo wśród sierot, zapytajmy siebie, czy względy nam się nasuwające skłoniły nas do takiego samego postępowania, gdyby tu chodziło o nasze własne dziecko lub rodzeństwo.

Gniazda sieroce i Wioski Kościuszkowskie.

Sprawie sierot poświęcano od zarania chrześcijaństwa wielką uwagę. Pierwotne wysiłki zdążały do tego, aby sieroty uchronić od śmierci i zapewnić im byt materjalny. Z czasem jednak wysunęły się na czoło zagadnienia wychowawcze, pedagogiczne. Dostrzeżono bowiem, że wychowanie wielkiej liczby sierot w zakładzie opiekuńczym zawiera nader dużo braków. Wysunięto jako zasadę o wiele słuszniejszą, że sierotę należy wychowywać w rodzinie, że należy jej uprzystępnić wszystkie zalety tego wychowania, zwłaszcza ciepło rodzinne i pożycie wśród rodzeństwa. Sto lat temu powstała tak namiętna walka z systemem wychowania zakłado-

wego, że ofiarą tej walki padł szereg zakładów, uznanych za złe społeczne. Dzisiaj umysły się znacznie uspokoiły. Istnienie zakładów opiekuńczych uznano za rzecz konieczną, a cały wysiłek pedagogów zakładowych zdąża ku temu, aby tryb życia zakładowego możliwie zbliżyć do wychowania rodzinnego. To ostatnie pozostaje nadal ideałem wychowania sierot, z zastrzeżeniem, że rodziny stać będą na możliwie wysokim poziomie życia religijnego, narodowego, społecznego i moralnego.

Także w Polsce podjęto próby zapewnienia sierotom tego podstawowego, rodzinnego wychowania — mianowicie w tak zwanych gniazdach sierocych. Myśl tę rzucił wielce zasłużony na tem polu p. Kazimierz Jeżewski, zapoczątkował jej realizację w 1908 r. na terenie Małopolski, a ponieważ tamże nie znalazł należytego zrozumienia, przeniósł ją do b. Kongresówki. Podwaliny finansowe dała ofiarność prywatna z prezesem śp. Glezmerem na czele. Zdołano nawet dla idei tej zainteresować władze rosyjskie, które zalegalizowały statut w 1911 r. Ponadto rząd rosyjski, zapewnił urzędowo, że ponosić będzie przy tworzeniu nowych placówek ⅓ potrzebnego kapitału fundacyjnego i że co roku pokrywać będzie połowę budżetu na utrzymanie wszystkich instytucyj towarzystwa.

Programowa odezwa ogłoszona po zalegalizowaniu statutu zapowiada, że Towarzystwo Gniazd Sierocych zamierza się zająć przedewszystkiem losem „dzieci niczyich", aby z nich wykrzesać ludzi. Dzieło to ma się zaś dokonać nie w wielkich zakładach wychowawczych, a w gospodarstwach rolnych, gdzieby dzieci wychowywały się przedewszystkiem same, wzorując się na przykładach, jakie widzą naokoło siebie.

Wspomniane gospodarstwa nazwano gniazdami sierocemi. Obejmują one obszary 15—20 hektarowe. Do zagród tych oddaje się dziesięciorga sierot w różnym wieku do lat szesnastu włącznie. Odnośny zaś rolnik, lub ogrodnik, dzierzawiący zagrodę, ma przy pomocy swojej żony, własnych i oddanych mu dzieci oraz przy pomocy 2—3 stałych najemników wypracować dla wszystkich mieszkańców gniazda nietylko utrzymanie ale jeszcze i czyste zyski, których połowa przypada jemu w udziale, drugą zaś przeznacza się na posagi dzieci. Opiekuni - gospodarze mają zagwarantowane prawo wykupienia po 20 latach uczciwej tej służby społecznej tej sierocej zagrody za sumę wkładów zrobionych przez TGS, przyczem powinni wykazać się oszczędnościami w ilości ⅓ ceny wykupu. Resztę powinni sobie dopożyczyć na dogodną długoletnią spłatę. TGS za otrzymany pełny zwrot

wyłożonych pieniędzy założy w innem miejscu nowe gniazdo.

Od chwili założenia towarzystwa zdołano uruchomić i ufundować 8 gniazd, z których tylko trzy otrzymały dostateczne urządzenia i kapitał obrotowy. Wojna dokuczyła gniazdom strasznie, zmiatając niektóre z nich z powierzchni ziemi. Z pośród pozostałych sześciu jedno tylko jest bezsporną własnością TGS, inne uwarunkowaną.

Wychowawców TGS, zwanych gnieździakami, dzieli się na trzy grupy.

Do pierwszej grupy zalicza się dzieci do mniejwięcej 16 lat życia. Powinny one skończyć szkołę powszechną, aby następnie iść mogły do szkoły zawodowej. Na miejsce najstarszego, wychodzącego z domu, gniazdo otrzymuje nowe, 6-letnie dziecko — sierotę. Doświadczenie wykazuje, że dla gnieździaków staje się gniazdo sieroce naprawdę domem rodzinnym. W czasie kształcenia zawodowego wracają chętnie na święta i na wakacje do gniazda, a nawet później, kiedy na własnym są chlebie, z przyjemnością dążą do „rodziców gniazda". Dziewczęta zamąż wychodzące mają matkę gniazda za przybraną sobie matkę i przyjaciółkę.

Druga grupa obejmuje młodzież kształcącą się poza gniazdami w szkołach zawodowych. Wybór zawodu pozostawia się im samym, a opiekunowie służą im tylko radą. Na naukę przeznacza się młodzieńcowi 4 lata; wybitnie zdolnym wychowańcom i wyraźnie wartościowym pod względem charakteru dopomaga towarzystwo do wyższego wykształcenia. Natomiast wszelka pomoc nosi tylko charakter stypendjum. Już podczas pobytu w gniazdach wychowańcy pracują na swoje utrzymanie, nie są oni żebrakami Towarzystwa. Po skończonym okresie zawodowego kształcenia gnieździak wydaje TGS oblig, że tyle a tyle jest winien Towarzystwu i że sumę tę obowiązuje się zwrócić najdalej w ciągu 15 lat.

Trzecią i najstarszą grupę stanowią tak zwani „Gnieździarze" zorganizowani w „Związek społecznych pracowników". Jest to już organizacja zupełnie niezależna, będąca jednak nader ściśle zespolona z TGS.

Po trzynastu latach pracy, t. j. do 1921 r. towarzystwo miało w sześciu gniazdach 90 dzieci od 6—16 lat, a poza gniazdami 140 starszych, z których około 90 chłopców i dziewcząt skończyło szkoły gospodarcze i praktyki rolnicze. Gnieździacy w czasie walk o niepodległość Polski stanęli pod sztandarem wojennym i spłacili gorliwie swój dług wobec ojczyzny.

W międzyczasie, już po odzyskaniu niepodległości, dokonała się silna ewolucja w umysłach twórców gniazd siero-

cych. Doszli oni do przekonania, że gniazda sieroce należy skupiać w wioskach, któreby obejmowały kilkanaście gospodarstw, i poddać je pod stałą kontrolę instruktora. Myśl tę przyspieszyła uchwała sejmu powzięta w 1919 r., którą postanowił stworzyć państwową fundację Wiosek Kościuszkowskich, w których 1000 sierot znajdowałoby wieczystą opiekę w imię Tadeusza Kościuszki. Fundacja ma być żywym dlań pomnikiem od narodu, wystawionym z okazji stuletniej rocznicy jego śmierci. Brak funduszów w skarbie państwa uniemożliwił zrealizowanie uchwały. Ma się to dokonać obecnie przez oddanie na ten cel majątku Rogoźno-Zamek na Pomorzu. Towarzystwo Gniazd Sierocych zainicjowało w międzyczasie Towarzystwo Wiosek Kościuszkowskich, któremu rząd poruczy zapewne zarząd fundacji.

Wedle programu Towarzystwa Wiosek Kościuszkowskich ma się praca w nich dokonywać w sposób następujący.

Kością pacierzową Wiosek Kościuszkowskich jest dwadzieścia gniazd sierocych, to jest dwadzieścia 25—30 ha wzorowych uprzemysłowionych gospodarstw. Dochody każdego gospodarstwa starczyć muszą na opłacenie kosztów jego prowadzenia, na opłacenie najemników, na utrzymanie rodziny opiekuna-gospodarza i przydanej mu gromadki dziesięciorga sierot w wieku 3—16 lat włącznie. Wszyscy w domu, a więc i dzieci, pracować muszą w miarę sił i uzdolnień, zwyczajnie jak w domu farmerów.

Małe dzieci znaczną część dnia spędzają w ochronce pod okiem zawodowej wychowawczyni. Starsze chodzą do szkoły, wzorowo prowadzonej, aby bardziej zdolne mogły przez czas pobytu swego w gnieździe, t. j. do ukończenia lat szesnastu, przejść kurs szkoły licealnej, a mniej zdolne pełną szkołę powszechną.

Kierownik szkoły, wyborny pedagog, jest zarazem dla gniazd inspektorem-wychowawcą. Ma prawo i obowiązek kontrolowania warunków życia dziecka w domu.

Po ukończeniu lat szesnastu młodzież gniazdowa zabierana jest z domu do burs i szkół zawodowych, odpowiednich zdolnościom i zamiłowaniom każdego. Na miejsce najstarszego gnieździaka, zabranego z domu do bursy, do gniazda przychodzi nowy, 3—4 letni sierota.

Gospodarzami-opiekunami gniazd są rolnicy lub ogrodnicy, mający ukończoną przynajmniej średnią szkołę zawodową i pierwszorzędne praktyki w kraju i zagranicą. Są nimi przeważnie dawni wychowańcy gniazd. Dom ich ma stać się gniazdem rodzinnem dla powierzonych im sierot, którym oprócz troskliwej opieki dać mają przynajmniej tyle serca,

ile go sami w gniazdach kiedyś zaznali od rodziców gniazd swoich.

Fermy gniazdowe są powiązane z sobą jak najdalej rozwiniętą kooperatywą, a gospodarze gniazd pod względem gospodarczym i społecznym uzależnieni są od stałego instruktora, starosty wioskowego, osadzonego na takiemże jak i gniazdo gospodarstwie. Ta jego starościńska gospodarka ma być dla sasiednich gniazd prototypem i wzorem.

Możliwie wszystkie stanowiska tych bardzo uprzemysłowionych i uspołecznionych Wiosek Kościuszkowskich, stanowiska nauczycieli, ochroniarek, rzemieślników, handlowców, urzędników powinny być obsadzone dawnymi wychowańcami gniazd, — i na nich opierać się ma rozwój wzorowych wiosek.

Na dwa więc okresy rozpada się wychowanie gnieździarza. Pierwszy idzie od najmłodszych lat wychowańca po przez cały czas jego dzieciństwa do chwili, kiedy dziecko przekształca się w młodzieńca i już można z nim decydować o wyborze dlań szkoły zawodowej odpowiedniej do jego indywidualnych zdolności i zamiłowań.

Drugim okresem jest czas szkoły zawodowej aż do chwili, kiedy po ukończeniu szkoły i praktyk staje wychowaniec, chłopiec czy dziewczę, do życia samodzielnego.

Sprawdzianem zaś działalności całej organizacji jest trzeci okres życia dawnych wychowańców, kiedy oni, idą już w życie i pracują w ścisłem zespoleniu z sobą i z organizacją Towarzystwa, które im było macierzą, a którego teraz wszyscy powinni być gorliwymi członkami i opiekunami.

Rodzice gniazda nie koniecznie mają być zawodowymi wychowawcami. Muszą to być jednak ludzie dobrzy, inteligentni, zamiłowani w gospodarstwie, ludzie czystego serca, żeby w życiu świecili dobrym przykładem dla swoich wychowańców. Naturalnym rzeczy porządkiem będą oni swoje rodzone dzieci więcej kochali, niźli dzieci, które im zostały przydane. Ale sprawiedliwy podział pracy, przyodziewku, pożywienia i troskliwej opieki musi stworzyć atmosferę taką, żeby wszystkim dzieciom gniazda było dobrze.

Zawodowe kształcenie wypełnia drugi okres życia wychowańca-gnieździaka. Wyjątkowo zdolni powinni w szkołach danej wioski przejść kurs 6 klas licealnych, aby dalej poza gniazdami mogli zdobywać matury i wyższe kończyć zakłady. Mniej od nich zdolni po zdobyciu 6-ciu klas pójdą do szkół zawodowych. Najsłabsi zdobędą w gniazdowym okresie pełną szkołę powszechną i pójdą dalej poza dom do szkół zawodowych niższych wedle zdolności i zamiłowania.

Młodzież starsza, kiedy idzie do szkół zawodowych i mieszka poza domem w bursach, otrzyma tam bardzo dobrych wychowawców, którzy umiejętnie i z zamiłowaniem potrafią nią kierować. Okres zawodowego kształcenia powinien być dla gnieździaków jednocześnie okresem społecznego ich urabiania, okresem seminaryjnej pracy społecznej.

W całem wychowaniu gnieździaków złotą nicią znaczona jest myśl przewodnia, że każdy gnieździak musi być dobrym społecznym pracownikiem. Celem wymarzonym jest stworzyć z nich społeczników.

Drugim kanonem wychowania gnieździaków jest zasada, że gnieździak nie jest żebrakiem. Pracą w gniazdach zdobywa on sobie utrzymanie. W okresie zawodowego kształcenia nie może na pracę zarobkową zbyt dużo czasu poświęcić. Ale pracować musi. Przeciętnie zawodowcy własną pracą pokrywają 50% swoich potrzeb: mianowicie w piewszym roku 20%,w drugim 40%, w trzecim 60%, w czwartym 80%, a w piątym i dalej już całkowicie sami się utrzymują. Towarzystwo uzupełnia tylko braki swoich wychowańców, a to co im daje, daje w formie stypendjum.

Co roku uczeń zamyka swoje obrachunki z Towarzystwem, a po skończonym okresie swego kształcenia wydaje Towarzystwu formalny oblig na pełną sumę zaciągniętych wobec TGS zobowiązań. Całą tę sumę długu obowiązany on będzie zwrócić Towarzystwu bez procentu w ciągu 15-tu lat, — z których przez pierwsze pięć lat przysługuje mu prawo moratorjum, ażeby mógł finansowo okrzepnąć w swojem życiu zarobkowem.

Inkasowaniem tych długów od dawnych wychowańców Towarzystwa zajmuje się ich związek, Związek Społecznych Pracowników, formalnie zalegalizowany, który wobec TGS ponosi solidarną odpowiedzialność za długi swoich członków. Zwroty dawnych wychowańców pozwolą oprzeć zczasem kształcenie nowych pokoleń gnieździaków zawodowego kształcenia o własne siły TGS, bez potrzeby uciekania się do pomocy zzewnątrz.

Jeśli Towarzystwo nie potrafi dobrze wychować swoje dzieci, to, naturalnie spłat tych nie otrzyma.

Tak w głównych zarysach przedstawia się program wychowawczy TGS, przekazany T-wu Wiosek Kościuszkowskich do realizowania i ciągłego doskonalenia go.

Wioska Kościuszkowska mieć winna dwadzieścia gniazd, z których dziesięć przeznaczone są do wykupu dla dziesięciu najdzielniejszych opiekunów-gospodarzy, którzy przez lat dwadzieścia przepracują w wiosce.

Organizacja gospodarstw sierocych tak musi być przeprowadzona pod względem gospodarczym, aby dochody gniazda nietylko starczyły na utrzymanie gospodarstwa i wszystkich jego mieszkańców, ale aby gniazda dały od kapitału fundacyjnego netto przynajmniej 6% w stosunku rocznym.

Połowę z tego t. j. 3% otrzymają opiekunowie-gospodarze jako swój udział w zysku, z czego 1% dostaną do ręki, a 2% będą musieli coroku składać do kasy przezorności na własny rachunek. Po dwudziestu latach pracy uzbiera im się w kasie 100%, potrzebnych na wykupienie gospodarki gniazdowej, którą utworzyli i przez lat dwadzieścia prowadzili.

Drugie dziesięć gniazd nie będą podlegały prawu wykupu. Po wieczne czasy pozostawać one będą gniazdami. Ich gospodarze-opiekunowie po latach dwudzieściu będą mogli i nadal pozostawać na stanowisku. Swoje oszczędności, skapitalizowane w kasie przezorności, w gotówce otrzymają do ręki.

Starosta wioski będzie miał prawo wykupić swoje gospodarstwo już po dziesięciu latach pracy w wiosce.

Druga połowa czystego dochodu gospodarki gniazdowej coroku odlicza się na fundusz posagowy. Przeznaczony on jest na wydawanie zapomóg dawnym gnieździakom jedynie w formie pożyczek krótkoterminowych z większym lub mniejszym stopniem oprocentowania, a nawet i bez procentu. Z pożyczek funduszu posagowego korzystać mogą tylko tacy z byłych wychowańców gniazd, którzy przyjęci zostali i należą do związku byłych wychowańców gniazd, Związku Społecznych Pracowników. Dysponowanie funduszem posagowym przekazane jest Związkowi pod odpowiedzialnością Związku za całość funduszu.

Wobec zasady, że fundusz posagowy jest niezniszczalny i że wciąż będzie on narastał, zczasem Związek będzie dysponował ogromnym kapitałem, który mu zapewni materjalną potęgę i moralne wpływy na członków.

Przed rokiem przy ustabilizowaniu pieniądza na stworzenie jednego gniazda potrzeba było 100.000 złotych, z czego: 15.000 złotych stanowi wartość ziemi, potrzebnej pod gniazdo; 50.000 złotych pójdzie na budynki; 10.000 złotych na inwentarze, stanowiące indywidualną własność gniazda i na wewnętrzne urządzenie domu, a pozostałe 25.000 złotych ma iść do kasy spółdzielczej Wioski, jako kapitał obrotowy gniazda.

A że w gnieździe jest stale dziesięcioro sierot, przeto **na głowę jednego sieroty potrzeba wieczystego niezniszczalnego fundacyjnego kapitału 10.000 złotych.**

Za te 10.000 złotych sejmik czy miasto, każdy fundator zakupi w organizacji T-wa Wiosek Kościuszkowskich prawo do jednego wieczystego łóżka i **żadnych już dodatkowych opłat, ani na rzecz Towarzystwa, ani na utrzymanie swego dziecka wnosić nie będzie.**

A. Gliniecki.

Zakład dla dzieci jagliczych w Śremie.

Jaglica, czyli egipskie zapalenie oczu, chociaż pojawiała się już zawsze, jednak mniej znaną była szerszemu ogółowi, zwłaszcza w naszej dzielnicy. Obecnie jednak choroba ta rozpowszechniona jest w dość znacznym stopniu, lecz społeczeństwo w większej mierze, mianowicie warstwy mniej uświadomione, nie zdaje sobie z tego należytej sprawy, wskutek czego jaglica rozpowszechnia się coraz bardziej. Do rozpowszechnienia tej choroby przyczyniały się w niemałym stopniu ostatnie wojny, których następstwem oprócz licznych innych objawów ujemnych względem zdrowotności ludzkiej jest również choroba jaglicy. Jaglicę przeniesiono do nas najwięcej ze wschodu, z terenów objętych działaniami wojennemi, gdzie ze względów rozmaitych (niedożywianie, nieczystość, brak urządzeń higjenicznych itp.) miała ona wielkie dane do rozpanoszenia się w sposób zastraszający.

Na pozór jaglica nie jest chorobą ciężką ani odstraszającą — zwłaszcza w stadjum początkowem — jednakże jest to choroba bardzo groźna i niebezpieczna, gdyż jej następstwem w licznych wypadkach jest ślepota.

A nie może być gorszego nieszczęścia dla jednostki ludzkiej, jak ślepota, gdyż czyni ona człowieka kaleką najnieszczęśliwszym, czyni go niezdolnym po większej części do jakiegokolwiek zajęcia i w ostateczności jednostka taka staje się ciężarem rodziny i społeczeństwa.

Doceniając ogrom nieszczęścia, jakie spaść może na liczne jednostki społeczeństwa wskutek rozpowszechniania się jaglicy, władze polskie, a mianowicie Generalna Dyrekcja Służby Zdrowia wraz z Ministerstwem Pracy i Opieki Społecznej podjęły energiczne kroki w celu zwalczania tej zarazy. Wielką pomoc w tej walce z epidemją udzielił powyższym władzom Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom.

Tenże Komitet przy wydatnem poparciu Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej oraz Generalnej Dyrekcji Służby

Zdrowia otworzył dwa specjalne zakłady leczniczo-wychowawcze dla dzieci chorych na jaglicę: jeden w Warszawie (dla chłopców), drugi w Śremie (dla dziewcząt).

Ze względu na ważność i aktualność podobnych zakładów sądzę, że nie od rzeczy będzie zapoznać Szan. Czytelników z urządzeniem takiej instytucji, i to zakładu w Śremie, Województwa Poznańskiego.

* * *

Zakład leczniczo - wychowawczy dla dzieci jagliczych w Śremie uruchomiono w czerwcu 1925 roku. W tym celu Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom, któremu powierzono administrację zakładu, wynajął za inicjatywą Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej i przy poparciu przez Urząd Wojewódzki w Poznaniu od Krajowego Związku Komunalnego obszerny budynek w Śremie, przeznaczony pierwotnie dla ubogich krajowych, których na razie pomieścić można w przeznaczonych również na ten cel starych zabudowaniach. Zakład przeznaczono początkowo na pomieszczenie 140 dzieci jagliczych.

Niebawem po otwarciu zaczęły do zakładu napływać większe i mniejsze transporty dziewczynek, chorych na jaglicę, przeważnie z województw b. Królestwa Polskiego. Pierwszy większy transport w liczbie 59 dzieci przybył z zakładu dla dzieci jagliczych w Warszawie, który w ten sposób odciążony został na korzyść dla reszty pozostających w nim chorych, a mianowicie dla chłopców.

Nie trwało długo, a w zakładzie śremskim znajdowało się 120 dziewczynek chorych na jaglicę. Musiano później przekroczyć przewidywaną normę miejsc i podwyższyć ją na 170. W ostatnim czasie frekwencja w zakładzie wynosi stale 170—180 dziewcząt.

Organizację zakładu podzielić można na trzy działy, a mianowicie:

1) administracyjny,
2) wychowawczy,
3) sanitarny wzgl. leczniczy.

Do załatwienia spraw w dziale administracyjnym przeznaczone są cztery osoby. Zadaniem działu jest administracja budynkami, prowadzenie książkowości i korespondencji, zawiadywanie magazynami żywności, bielizny, odzieży i obuwia. Ze względu na obszar i rozwój zakładu oraz ze względu na jego typ leczniczy i wychowawczy praca w tym dziale jest wielka, lecz wykonywaną zostaje starannie i celowo.

Prace w zakładzie działu **wychowawczego** wykonuje sześć osób, kwalifikowane nauczycielki i wychowawczynie. W zakładzie mieści się szkoła typu powszechnego, w której udziela się lekcyj w czterech oddziałach. Przyznać należy, że wychowawczynie maja trudne zadanie przy spełnianiu swych obowiązków ze względu na zespół dzieci, zebranych z różnych stron kraju, a tem samem na rozmaite usposobienie i rozwinięcie umysłowe dzieci. Jednakże i tu umiejętność i zamiłowanie personelu sprawiaja, że akcja wychowawcza toczy się w należytym porządku i na ogół nie ma powodów do jakichkolwiek zarzutów.

Na czele działu **sanitarnego** stoi profesor Uniwersytetu Poznańskiego p. dr. Kapuściński, który dojeżdża do zakładu mniejwięcej trzy razy miesięcznie. Stale przebywa w zakładzie p. dr. Kalitowiczowa, asystentka kliniki uniwersyteckiej w Poznaniu, która wykonuje stały nadzór lekarski nad dziećmi. Nadto nad ogólnym stanem zdrowia zakładu czuwa miejscowy lekarz wolnopraktykujący p. dr. Bogacki, przychodzący codziennie i w razie potrzeby. Oprócz tego należą do personelu dwie sanitarjuszki.

Dzieci chorych na jaglicę, przebywających w zakładzie, dzieli się na trzy oddziały, i to:

1) dla chorych na jaglicę sączącą,
2) dla chorych na jaglicę suchą,
3) dla uzdrowieńców.

Kierowniczką zakładu jest p. Zofja Rutkowska, kwalifikowana wychowawczyni i pielęgniarka, oddająca się pracy dla dobra instytucji i jej pupilów z zamiłowaniem i uczuciem. Jej takt i umiejętność sprawiają, że wszelkie czynności w zakładzie załatwia się prawidłowo i celowo, oraz że trudne zadanie wychowawcze wobec licznej dziatwy rozwija się w należytym kierunku. Świadczy o tem na ogół dobry stosunek wychowawczyń względem dzieci oraz przywiązanie ostatnich do swych przełożonych.

Zakład sam pomieszczony jest w obszernym gmachu, położonym na uboczu miasta. Okolony jest ogrodem i miejscem do zabaw dla dzieci. Składa się z kilkunastu ubikacyj, przeznaczonych na biura, gabinet lekarski, salę szkolną, pomieszczenia dla dzieci i personelu, sypialnie, łazienki, ustępy oraz magazyny w piwnicach i na kuchnię.

Obszerne i jasne są sypialnie dla dzieci, podzielone również stosownie do oddziałów według stanu rozwiniętej choroby. Są osobne ubikacje dla dzieci z początkowemi objawami jaglicy, dalej dla dzieci z jaglicą rozwiniętą oraz dla dzieci wyleczonych, oczekujących wysłania.

W zakładzie panuje wzorowy ład i porządek oraz wielka czystość — kardynalna podstawa do zwalczania zarazy. Widzimy zatem pokoje i sale jasno bielone, czyste okna, nacierane podłogi. Łóżeczka są białe, pościel czysta i starannie ułożona. Czystość panuje w umywalniach, ustępach i łazienkach. Każde dziecko ma własne przybory do mycia, utrzymywane w należytym porządku.

Personel zakładu ubrany jest czysto i robi dobre wrażenie. Dzieci przyzwyczaja się do przestrzegania ścisłej higjeny. Wydawanie i spożywanie pokarmów odbywa się pod nadzorem wychowawczyń, jak również dozoruje się mycie i kąpanie dzieci, układanie do snu i wstawanie. Ponadto są nocne dyżury, kontrolujące sypialnie.

Do zakładu jagliczego w Śremie przyjmuje się jedynie dziewczęta w wieku od 7 do 16 lat. Zakład jest mniejwięcej stale przepełniony. Przekazuje się doń dziewczęta przez związki komunalne i zakłady wychowawczo-opiekuńcze, przeważnie z województw wschodnich. Liczba dzieci z województw zachodnich stanowi stosunkowo mały procent.

Opłata za leczenie i utrzymanie wynosi 3,50 zł dziennie za dziecko.

Za dzieci skierowywane do Śremu przez związki komunalne i przez zakłady opiekuńcze administracja zakładu pobiera stawkę dzienną w wysokoci 5 punktów (obecnie 2,15 zł), obliczoną według mnożnej o uposażeniu funkcjonarjuszów państwowych po myśli art. 5 ustawy z dnia 9. X. 1923 r. (Dz. Ust. R. P. Nr. 116 poz. 924). Za wyżej wyszczególnioną opłatę zapewnia się pensjonarkom całkowite utrzymanie, odzież, pomoc naukową i opiekę lekarską. Oczywiście, że dziecko przybywające do zakładu wyposażone musi być w najniezbędniejszą odzież i bieliznę osobistą.

* * *

Z powyższych danych wynika, jak potrzebną jest odpowiednia instytucja w celu zwalczania niebezpiecznej choroby. Mimo że w zakładzie śremskim — jak wyżej zaznaczyłem — znajduje się tylko nikły procent dzieci z zachodnej części kraju, to objaw ten bynajmniej nie dowodzi, że u nas jaglica nie panuje.

Przeciwnie, jak na stosunki nasze choroba ta i w naszej dzielnicy jest rozpowszechniona w rozmiarach poważnych. Społeczeństwo nasze nie docenia jeszcze należycie jej grozy, czem tłumaczy się coraz dalsze rozpowszechnianie tego niebezpieczeństwa.

Liczba dzieci chorych na jaglicę, przebywających w zakładach opiekuńczych, wynosiła w 1926 roku 170 na ogólną

liczbę przebywających w zakładach 2013 dzieci, co stanowi około 8,4% dotkniętych tą chorobą. Jest to liczba, którą zdołano stwierdzić na podstawie badań lekarskich w zakładach wychowawczo-opiekuńczych. Ileż natomiast dzieci, a nawet osób dorosłych obarczonych jest jaglicą, o których miarodajne czynniki wogóle nie wiedzą.

Znaczna liczba chorych na jaglicę wskutek braku poprzednio odpowiednich i dostępnych instytucyj leczniczych pozostaje zupełnie bez leczenia, szerzy chorobę wśród swego otoczenia, wreszcie ślepnie.

Coprawda pewna część chorych korzysta z leczenia w kasach chorych, lecz leczenie to bywa często nieracjonalne, nie przez lekarzy-specjalistów prowadzone, oraz zupełnie nie skoordynowane z akcją zapobiegawczą.

Z uznaniem przeto należy podkreślić, że władze centralne zwróciły baczną uwagę na fakt rozszerzania się tej choroby i szeregiem zarządzeń wydanych do władz podległych poleciły przystąpić do walki z jaglicą. W tym celu tworzą się placówki leczniczo-sanitarne, rozmieszczone po całym kraju, które umożliwią licznym chorym, pozbawionym obecnie pomocy leczniczej, racjonalne i skuteczne leczenie.

Urząd wojewódzki w Poznaniu w nawiązaniu do powyższego wydał kilka zarządzeń do pp. przewodniczących wydziałów powiatowych i prezydentów miast, zalecając organizowanie na swych terenach przychodni przeciwjaglicznych na wzór przychodni przeciwgruźlicznych. Na skutek tego zarządzenia poczęły się organizować przychodnie przeciwjaglicze w Wolsztynie, Czarnkowie, Gnieźnie, Inowrocławiu, Kępnie, Ostrzeszowie, Koźminie, Nowym Tomyślu.

Przyszłość wykaże racjonalność i konieczność tych zabiegów w walce z jaglicą.

Najważniejszą uwagę zwraca obecnie Urząd Wojewódzki na ujawnienie jaglicy w zakładach opiekuńczych (sierocińcach. W razie stwierdzenia jaglicy u dzieci dąży konsekwentnie do tego, aby chore jednostki odłączone zostały od ogółu zdrowego i oddane zostały bezwzględnie do specjalnych zakładów leczniczych, o ile zakład, w którym dziecko przebywa, nie daje rękojmi, że leczyć można chorych skutecznie na miejscu bez narażenia dzieci zdrowych.

Na wzór instytucji śremskiej uruchomi się w niedługim czasie w wydzierżawionych już na ten cel budynkach majątku Marszałki, powiatu ostrzeszowskiego, zakład leczniczy dla chłopców, chorych na jaglicę.

Wobec tego wszystkiego, co władze państwowe na tem polu czynią, — wobec rozpoczętej racjonalnej organizacji zwalczania tej choroby, przypuszczać można, że nie przy-

bierze ona w dalszej przyszłości szerszych rozmiarów i z biegiem czasu zostanie zupełnie wytępiona.

Celowość tych zabiegów może jednakże być ostatecznie uwieńczoną pomyślnym skutkiem, o ile wszystkie warstwy społeczeństwa, zwłaszcza sfery uboższe przejęte zostaną świadomością, jakie niebezpieczeństwo grozi licznym jej jednostkom w razie niedoceniania grozy jagliczej, — oraz o ile społeczeństwo samowolnie popierać będzie akcję czynników miarodajnych w sprawie zwalczania choroby przez zgłaszanie wszystkich wypadków — chociaż tylko podejrzanych (w urzędach, u lekarzy powiatowych), jak również o ile popierać będzie zakłady i przychodnie w tym celu stworzone.

Gdy to nastąpi, uchroni się te liczne jednostki ludzkości od największego niebezpieczeństwa — od ślepoty.

* * *

Dla zilustrowania chociaż w małej mierze akcji, podjętej ku zwalczaniu jaglicy, nadmienić w końcu wypada, że w ostatnim czasie pojawiają się pisma ulotne i broszurki, wydane przez władze centralne lub miarodajne osoby i instytucje, mające za zadanie informowanie i uświadomienie społeczeństwa o niebezpieczeństwie jaglicy.

Jako przykład podaję poniżej brzmienie odezwy Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy dzieciom (obecnie Polski Komitet Pomocy dzieciom w Warszawie), pod którego administracją znajduje się zakład leczniczo-wychowawczy dla dzieci jagliczych w Śremie. Odezwa ta, we formie afiszów, która rozpowszechnioną została w kraju w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, brzmi jak następuje:

Jaglica

(egipskie zapalenie oczu)

jako przyczyna ślepoty.

Każda choroba jest nieszczęściem, ale niewątpliwie niema gorszego niż ślepota, gdyż człowieka zdrowego i chętnego do pracy czyni kaleką i ciężarem rodziny. Jedną z częstych przyczyn ślepoty jest jaglica, zwana także „egipskiem zapaleniem oczu". Choroba ta u nas w Polsce jest obecnie bardzo rozpowszechniona i szerzy się coraz bardziej, a w innych krajach przeciwnie coraz mniej osób na nią zapada, bo tam ludzie zapobiegli jej szerzeniu się. Łatwiej zapobiegać chorobie, niż ją później leczyć. Należy i nam o tem pomyśleć.

Jakkolwiek jaglica jest ogromnie rozpowszechniona, to jednak niezawsze łatwo ją rozpoznać. Zaczyna się jaglica na wewnętrz-

nej stronie powieki górnej, na tak zwanej spojówce. Na powiekach zdrowych spojówka jest gładka i bladoróżowa, na powiekach porażonych jaglicą spojówka pokryta jest jagłami, tak nazwanemi, ponieważ z wyglądu podobne są do ziarnek kaszy jaglanej.

Chorzy na jaglicę skarżą się, że czują pod powiekami jakby piasek, wieczorem oczy im się mimowoli zamykają, a po obudzeniu się powieki mają zaropiałe.

Stan taki trwa nieraz bardzo długo; człowiek chory na jaglicę, chociaż ma oczy chore, nie czuje początkowo bólu i widzi dobrze, najczęściej więc się nie leczy. Jednak prędzej czy później następuje drugi okres choroby: oczy bolą, łzawią, otwierają się z trudnością, światło je razi. Od ciągłego zetknięcia się z drażniącemi jagłami na spojówce oko pokrywa się powoli krwawemi żyłkami, z początku tylko pod górną powieką, potem z żyłek krwawych tworzy się łuseczka, przez którą chory nic już nie widzi, może zaledwie odróżnić światło od ciemności. Dopiero ból i ślepota zmusza chorych na jaglicę do leczenia się.

Jaglica jest bardzo zaraźliwa. Zarazek jej znajduje się w ropie, wydzielającej się z oczu chorych na jaglicę. Zarazić się jaglicą można przez umycie twarzy w naczyniu, w którem mył się chory na jaglicę, przez wycieranie twarzy jego ręcznikiem lub chustką, przez leżenie na jego pościeli, przez wkładanie jego okularów.

Oczywiście najłatwiej jest leczyć jaglicę w jej początkach. **Przedewszystkiem zaś leczyć ją należy u dzieci.**

Leczyć skutecznie jaglicę można tylko w odpowiednich zakładach i przytuliskach.

Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom, dzięki pomocy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej oraz Generalnej Dyrekcji Służby Zdrowia, otworzył dwa specjalne zakłady leczniczo-wychowawcze dla dzieci chorych na jaglicę, jeden w Warszawie przy ulicy Czerniakowskiej nr. 131 dla chłopców, drugi w Śremie (Województwo Poznańskie) dla dziewcząt. Zakłady te zajmują się nietylko leczeniem, ale również wychowaniem i nauką dzieci. O wszelkie informacje co do warunków umieszczenia chorych dzieci w tych zakładach zwracać się należy do Dyrekcji Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom w Warszawie, Jasna nr. 11, II piętro, w godzinach biurowych, telefon 66-24 lub 62-00. Oprócz tego Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom otworzył w Warszawie cztery Przychodnie Przeciwjaglicze, gdzie mogą się leczyć lżej chorzy.

Nie zaniedbujcie oczu waszych dzieci, brońcie wasze dzieci od ślepoty!

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

